Hilda, Bronek i ten cały Bazyliszek

Hilda otworzyła oczy. Na zewnątrz było szaro i buro, chmury zasłaniały całe niebo, ale było zbyt wcześnie, by oszacować, czy tak będzie wyglądał dzień. Spojrzała najpierw na zegarek, a później na drugi koniec łóżka. Bronka znów nie było. Głośno westchnęła w nadziei, że ten stary cap ją usłyszy i zrozumie, co chciała tym przekazać. Hilda, chociaż przeżyła już swoje, bo 69 wiosen już miała od jakichś 3 - 4 lat, to jak to „śląsko baba" więcej mówiła przez westchnięcie aniżeli słowami. Ubrała puchate kapcie kupione na bazarze od górali i poczłapała do salonu.

Bronek siedział nieruchomo przy kubku wystygniętej herbaty i gapił się w okno - ani nie mrugnął, ani się nie skrzywił - jakby spał z otwartymi oczami. Hilda stała chwilę, wpatrując się w męża, zmarszczyła wyskubane na plemniki brwi i w końcu się odezwała:

– Stary, a ciebie piere na dekiel, że łod 4 rana sam siedzisz jak kołek we płocie?

Bronek, brutalnie wyciągnięty z letargu, wzdrygnął się na dźwięk głosu ukochanej. Spojrzał na nią półprzytomny i w geście odpowiedzi wzruszył ramionami.

– Zaś coś słyszysz, ja? – dopytywała Hilda, widząc, że Bronek ostatnio dziwnie się zachowuje nawet jak na takiego dziwaka, jakim był.

Usiadła na kanapie naprzeciw, łyknęła zimnej herbaty z kubka. Skrzywiła się, bo to, co wzięła za herbatę, było tak naprawdę kawą zbożową bez mleka.

– Fuj! Bronek coż ty to pijesz za lura! – skrzywiła się. – Toż taki tyj się w gorczku robi, a nie w tym kubku z rołzami!

Bronek zignorował te kubkowe savoir - vivre i nachylił się konspiracyjnie do żony, szeptem powiedział:

– Hilda, jo już wiym, co tak w nocy sapie. Wiym, co to gdacze w nocy. Wiym!

Hilda miała na to już gotową odpowiedź, ale ugryzła się w język. Bronek był emerytowanym górnikiem, poczciwym chłopem, co nigdy nie pił za dużo, ani nie bił. Po robocie prosto do domu, czasem jakieś piwo w szynku i to wszystko. Doglądał gołębi, a wieczorem lubił sobie zjeść salceson i dziennik obejrzeć w spokoju. Spędzili razem ładne 55 lat w zgodzie właśnie dlatego, że Hilda, nawet jak na „śląsko baba", miała niezwykłą umiejętność ugryzienia się w język, kiedy trzeba. Aż dziwne, że do tej pory go jeszcze nie odgryzła.

– Ja? To co ci nie dowo tak spać, Broneczku? – zapytała pieszczotliwie.

– Hilda… To je Ba - zy - li - szek. – przesylabował, żeby żona mogła go lepiej zrozumieć.

Hilda zrozumiała. *Chłopu się na łep ciepło!* – pomyślała, ale nie dała po sobie poznać. Uśmiechnęła się, pokazując rząd równych, białych zębów protezy:

– Ja? Broneczku, a może zadzwoniymy do dochtora Kompy? Może by Cie tak łobejrzoł? Ostatnio to Ci te dwa gołymbie pitły i stresu trocha z tym było… – powiedziała najłagodniej i najnaturalniej, jak tylko mogła.

Bronek obruszył się.

– Jo żech niy ma chory! Jo słysza, jak łon łazi kajś przy Reptach, a Ty babo durno mie za bozna robisz! Ciebie coś padać! – wstał i podreptał do łazienki, zostawiając żonę samą w salonie.

Hilda siedziała chwilę, słuchając jak Bronek odkręca kran i zaczyna poranną toaletę. Zerknęła na zegarek, który wskazywał równo 5:30. Westchnęła głośno, ale zorientowała się, że mąż i tak nie usłyszy, bo szum wody zagłuszył nawet jej najgłośniejsze pretensje. Chcąc nie chcąc, wstała, zabrała kubek w czerwone róże i poszurała kapciami do kuchni, żeby zaparzyć prawdziwej kawy i zrobić Bronkowi śniadanie. Pod nosem tylko mówiła do siebie:

– Bazyliszek, pieronie! Coż tyn chop zaś wymyślił?!

***

Nikola grymasiła przy obiedzie, wybierała nać pietruszki i zdobiła nią talerz dookoła, marudząc, że przecież nie lubi i babcia powinna o tym pamiętać. Hilda patrzyła na ten pietruszkowy wieniec, ale nic nie powiedziała. Wzięła tylko talerz po rosole i podała drugie danie. Córka Hildy i Bronka - Barbara była cenionym biologiem na Uniwersytecie Śląskim - zajmowała się badaniem krętka *borrelia* przenoszonym przez kleszcze. Często można było ją spotkać w Parku Miejskim w Tarnowskich Górach, gdzie zbierała pajęczaki i je badała. Dla Hildy jednak cała kariera naukowa Basi to „zbieranie chroboków po kolanach", kiedy Nikola (jej jedyna wnuczka) musiała siedzieć w świetlicy. Tak więc co wtorek, gdy Basia oddawała się swojej pracy w terenie, Nikola spędzała popołudnia na Osiedlu Przyjaźń w Starych Tarnowicach.

– Babcia! Ja nie będę tego jadła! – Nikola dłubała widelcem w kapuście gołąbka.

– A to czymu zaś? – zapytał Bronek nadal lekko naburmuszony po porannych uszczypliwościach Hildy.

– Bo to jest mięso w kapuście, co jest gołąbkiem? Ale cringe! – odpowiedziała Nikola, cały czas patrząc w ekran telefonu.

– Esusie, a po jakiemu to? – Hilda przysunęła się do wnuczki, żeby lepiej słyszeć.

– Po polsku? Bosz, ale wy jesteście boomerzy, rily! – Nikola przewróciła oczami.

Hilda spojrzała na Bronka, a Bronek podobnie jak rano wzruszył tylko ramionami na znak, że nie wie, co odpowiedzieć.

– Dziecko drogie, zostow żesz tyn telefon aby do łobiadu. Durś ino paczysz i paczysz, łoczka bydom Cie boleć! – powiedziała Hilda z troską, chociaż nie była przekonana, czy ostatnie zdanie wnuczki w jej kierunku nie powinno jej jakoś znacząco obrazić.

– Babcia, telefon teraz to życie! Wszystko dzieje się w sieci – tiktoki, reelsy, virale, get ready with me, influencerzy! Wszystko! – zachwycała się Nikola.

– Łona durś godo do nos? Po jakiemu to? – zapytał Bronek, odkładając sztućce.

– Poć Opa, ja Ci pokażę! – powiedziała Nikola ciut po śląsku, by udobruchać złego już Bronka i ciągnąc go do okna, wskazywała palcem na dzieci przed blokiem.

Dziadek spojrzał na mały placyk zabaw, na którym jeszcze do niedawna było słychać piski i krzyki bawiącej się gromady. Teraz nawet z Hildą się nie zorientowali, że otaczała ich cisza. Dzieci siedziały na ławkach, huśtawkach a nawet na trawie. Wszystkie jak skamieniałe, wpatrzone w ekrany smartfonów. Niebieskie ekrany oświetlały nieco ich blade twarze, a opuchnięte powieki dźwigały kolejne filmy social mediów.

– Hilda, poć się to zobocz, bo aż ciężko opisać – powiedział Bronek drapiąc się po gładko ogolonej twarzy.

Hilda doszurała się w swoich góralskich kapciach. Stali tak we trójkę przy oknie, nie wiedząc dokładnie, czy to normalne czy już nie. Nawet Nikola zwątpiła, gdy zrozumiała, że dzieci przestały się ruszać i wyglądają jak specyficzna instalacja artystyczna a nie jak żywi jeszcze ludzie.

Popatrzyli po sobie, po czym Bronek krzyknął:

– Bazyliszek! Hilda oblykej jakla, idymy na Repty! – po czym poderwał się energicznie i zniknął w przedpokoju.

Nikola z Hildą stały jeszcze chwilę przy parapecie, upewniając się, że widzą dokładnie to samo, co kilka minut temu. Żadne z dzieci nie ruszyło się z miejsca, nie zmieniło pozycji. Wydawało się, jakby nawet powietrze stało w miejscu.

– Oma i co tera? – zapytała Nikola po śląsku.

Hilda, co jak co, ale wiedziała, kiedy Bronka należy słuchać bardziej, a kiedy mniej. Kochała tego chłopa, a że troszkę dziwny, może momentami głupi… nikt nie jest idealny. Westchnęła, tym razem cichutko do siebie, tak by mąż jej nie usłyszał i powiedziała:

– Oblykej się, Nikola, idymy na Repty szukać… – przełknęła ślinę – Bazyliszka.

***

Repty o tej porze roku były zachwycającym miejscem, gdzie kolory jesieni przeplatały się ze światłem złotego, wczesnojesiennego słońca. Chociaż poranki były dość szare i deszczowe, to popołudnia obfitowały w słońce. Wynikiem tego ścieżki były fragmentami rozmiękłe i błotniste, przez co trzeba było wyjątkowo uważać, by nie paść twarzą przed siebie i ze szczególną uwagą dobierać obuwie.

– Nie moga uwierzyć, żeś Ty polazła w tych papuciach! – nie wiadomo, czy Bronek był bardziej zły, czy rozbawiony niecodziennym wyborem swojej żony.

– Co jo poradza, że mie tak jeden haluks pije, że żodnych halpków nie oblyka. – Powiedziała nieco urażona Hilda, która starała się nadążyć za tempem, które nadała idąca z przodu Nikola.

– Czekej, Niki! – zawołał za nią Bronek i przystanął.

– Co? – zapytała Nikola, patrząc znad ekranu telefonu, w którym prowadziła transmisję live na Tiktoku z tej niecodziennej misji z dziadkami.

– Co zaś? – zapytała Hilda, powstrzymując zadyszkę i poprawiając prawy kapeć.

Bronek podrapał się po głowie.

– Jo właściwie nie wiem, czego my mogymy szukać… – w jego głosie dało się wyczuć nutę niepewności.

Hilda przewróciła oczami i już chciała ugryźć się w język, ale nie musiała, bo w ich kierunku właśnie szła jedna z sąsiadek. Pani Stanisława Kopiec była znana na osiedlu Przyjaźń, ale bynajmniej nie ze swojego przyjacielskiego usposobienia. Zawsze znała najświeższe plotki oraz drzewa genealogiczne do czwartego pokolenia każdej ze śląskich rodzin zamieszkujących ten sam blok, co ona. Dodatkowo, na złość wszystkim, którzy jej nie lubili- piekła pyszne ciasta, a jej kołocz z makiem nie miał sobie równych. Często opowiadała, że nawet Kopa Ornontowicka - będąca na Liście Produktów Tradycyjnych prowadzonych przez Ministerstwo Rolnictwa i Rozwoju Wsi - to jej przepis, który kiedyś dała przyjaciółce z Ornontowic. Wszyscy jednak wiedzieli, że jest zdecydowanie zbyt skromna, żeby teraz rościć sobie do tego prawa. Ot, cała Stanisława Kopiec.

Szła w ich kierunku dziarskim krokiem, a jej tężyzna fizyczna była widoczna już z daleka. Krzyczała głośniej niż wymagała tego sytuacja:

– Coż za miły widok! Taki spacer po Reptach całom familiom! Ino Basi ni ma. JAK ZWYKLE. – Powiedziała sąsiadka ze swoją zwyczajową, elegancką nutą przytyku.

– A Ty, Stasia, JAK ZWYKLE sama łazisz, bo już nikt wyczimać z tym Twoim jadem nie umi – odgryzła się Hilda.

– Dej pokój – Bronek ścisnął żonę za ramię i zwrócił się do pani Kopiec:

– Stasia, ty sam wszystko wiesz, co w okolicy się kolybie, zauważyłaś możno co dziwnego?

– A możno zauważyłach... – powiedziała sąsiadka, łypiąc okiem na Hildę, która wciąż walczyła z papuciem i wystającym z niego haluksem.

– Toż powiedz, sąsiadko, coż to się dzieje na osiedlu, bo co jak co, ale Ty pewnie wiysz… – próbował załagodzić sytuację Bronek.

Stasia, czule połechtana tym komplementem, nachyliła się do mężczyzny tak blisko, że było czuć, co jadła na obiad i cicho wyszeptała:

– Godajom… że Bazyliszek wylozł z Kopalni Srebra. Pokręcił się koło autostrady, ale policyjo go spłoszyła i gibko uciyk w kierunku Rept. I jo go chyca! – obwieściła dumnie i wyprężyła obfitą pierś.

Hilda uniosła jedną ze swoich plemnikowatych brwi z niedowierzaniem i już miała coś powiedzieć, ale Bronek skarcił ją wzrokiem. Teraz faktycznie ugryzła się w język, ale i tak powiedziała:

– Ty chycisz… ryma najwyżyj. – parsknęła.

– Pedziała baba w papuciach! – odgryzła się Stasia.

Bronek już miał zająć się zawarciem sojuszu pomiędzy dwoma paniami, ale spostrzegł, że Nikola stoi nieruchomo obok drzewa. Patrzy w niebieski ekran swojego smartfona, oczy jej puchną i łzawią, a twarz staje się coraz bledsza.

– Nikola! – krzyknął rozpaczliwie Bronek, rzucając się na pomoc wnuczce.

Dla dziewczynki było już jednak za późno.

***

Nadchodził wieczór, powietrze pachniało wilgocią i tą niewyjaśnioną nutą wczesnej jesieni: trochę liśćmi, dymem, a trochę pieczonymi ziemniakami. Na osiedlu Przyjaźń cisza była nie do zniesienia, niemal odbijała się echem od wielkich blokowych ścian. Nie było słychać niczego poza tykaniem zegara w kuchni państwa Capek, gdzie przy stole, zasłanym ceratą w kury, przy czarnej herbacie, trójka emerytów zastanawiała się, czy aby nie popadła w obłęd.

– Co jo powiem Basi, to jo niy wiym. – Hilda skryła zmartwioną twarz w dłoniach.

– Póki co, Nikolka dzisio u nos śpi, tera loto se po dworze i tej wersji sie czimiymy! – powiedział, jak zwykle racjonalny, Bronek.

Nikola tymczasem leżała nieruchomo w salonie na tapczanie w tej samej pozycji, co zastygła w Reptach. Telefon szumiał i wyświetlał niebieski ekran, ale dziecko nie reagowało już wcale. Spod półprzymkniętych powiek czasem spadła jakaś zagubiona łza. Nikola przypominała posąg, jak reszta dzieci na osiedlu.

– Wiym! – krzyknęła Stasia, która od czasu spotkania sąsiadów w Reptach już nie chciała odpuścić misji poszukiwania Bazyliszka. Ku niezadowoleniu Hildy, wścibska, ale i krzepka Stanisława Kopiec przyłączyła się do tej, bądź co bądź, specyficznej drużyny.

– Co?! – krzyknęli jednocześnie Bronek i Hilda.

– Upieka kołocza! – powiedziała z zadowoleniem Stasia.

Hilda machnęła ręką i z kpiną w głosie powiedziała:

– Z całym szacunkym, Kopcowo, ale mie Nikolka ledwo żywo, abo i nieżywo leży na tapczanie, a Ty mi sam o kołoczu fandzolisz? Poważnoś Ty je?

– Aaaaa, Hilda, dej pokój, a suchej mie do końca a nie co druge słowo! – zezłościła się już poważnie Stasia. – Jo tego kołocza napieka, bo mój kołocz równych se ni mo! Porozkłodom bele kaj po Reptach i poczekomy. A wątpia, że taki śląski Bazyliszek na konsek mojego kołocza nie poleci… A wtedy my hyc! I go momy gizda! – dokończyła z radością, klaszcząc w ręce.

– My hyc! – przedrzeźniała Hilda, pukając się w środek czoła.

Bronek siedział zamyślony, przysłuchiwał się tej debacie dwóch Ślązaczek i milczał, bo powszechnie przecież wiadomo, że gdzie dwie śląskie baby się biją, tam w drogę lepiej żadnej nie wchodzić i za żadną ze stron się nie opowiadać. Przeczekać trzeba. W końcu między dwoma paniami zapadła cisza, obrażone nawet głowy poodwracały w przeciwnych kierunkach. Wtedy przemówił Bronek:

– Trzeba ratować bajtle. Stasia, idź do Maxa i kup dwa kilo maku, jo Ci go zaro przemiela i zrobisz kołocz – Stasia tylko skinęła głową, spojrzała na Hildę triumfalnie, po czym poleciała, trzaskając drzwiami mieszkania.

– A Ty, Hildeczko, ukrej kraiczek chleba i rubo pokrej salcesonu. – Wydał polecenie Bronek, całując żonę w przegub ręki.

– A tyn salceson to tyż na Bazyliszka? – Hilda pospiesznie wyciągała z szuflady nóż do chleba.

– Nie. Kraiczki do mie, boch się już od tego wszystkego głodny zrobił.

Jak postanowili, tak zrobili. Bronek zmielił Stasi mak na kołocz, a ta ochoczo zabrała się za wypiekanie swojego popisowego ciasta. Pachniało nim na cały blok, a może i w samych Reptach? Bronek z Hildą mocno wierzyli, że uda się zwabić Bazyliszka śląskim specjałem, ale jednocześnie zastanawiali się, co zrobią, kiedy go faktycznie złapią? Jak wygląda taki Bazyliszek? Jak z nim rozmawiać? Czy umie rozmawiać? A najważniejsze - jak go zmusić, by odczarował dzieci z kamiennych posągów? Hilda siedziała na tapczanie obok leżącej na nim Nikoli i głaskała wnuczkę po bladym policzku. Bronek ze Stasią poszli na Repty, więc ktoś z ich trójki musiał zostać w domu i czekać. Wolała tę opcję niż sama przebywać z Kopcową, a Bronek to przynajmniej nerwy ma na wodzy to i większą tolerancję na wścibską sąsiadkę.

Stasia z Bronkiem zaczęli rozkładać kołocz obok Szybu Sylwester Sztolni Czarnego Pstrąga. Wspólnie uznali, że ten fragment będzie najbardziej odpowiedni, bo Bazyliszek kojarzy się właśnie z takimi miejscami. Porozkładali słodkie ciasto na papierowych tackach. Stasia upierała się nad ozdobną serwetką pod słodkim wypiekiem, bo wstyd, żeby taki kołocz weselny na gołą tackę kłaść. Jak już ciasto miało odpowiednią oprawę i miejsce, kąt ułożenia oraz tło, wtedy schowali się w krzakach i nasłuchiwali.

Emerytom czas płynie dość szybko w ciągu dnia - tu zakupy, tu spotkanie z sąsiadem, tu rozmowa z Panią z apteki i już trzeba garnek na palnikach stawiać, bo pora obiadu. Dziś jednak minuty dłużyły się Bronkowi niemiłosiernie. Patrzył na skupioną Stasię, a właściwie na jej ręce przypominające bochny chleba od ciągłego wyrabiania ciasta drożdżowego, zerknął też na jej zaciętą minę i poniekąd zrozumiał, dlaczego po śmierci Henia sąsiadka nie zamierza już wychodzić drugi raz za mąż. Świetnie radziła sobie sama i chociaż była wścibska i momentami bezczelna, to miała w sobie tę zanikającą kobiecą śląskość, którą tylko drugi Ślązak potrafi docenić. Z tych rozmyślań wyrwał go głos wdowy:

– E! E! E! Panie! Ostow Pan ten kołocz, to niy do Pana! – krzyczała i jednym susem wyskoczyła zza krzaka.

Bronek był pod wrażeniem, jak kobieta w jej wieku (i jej postury) może tak zwinnie pokonać te kilka merów. Nawet nie mrugnął, a Stasia stała już obok wysokiego jegomościa, który wkładał do ust kolejny kawałek ciasta.

– Pani wybaczy, ale ja do tej pory nigdy nie jadłem tak pysssszznego makowca! Absolutnie rewelasssyjny! – powiedział, żując i mlaskając głośno.

Człowiek ten ubrany był dość staromodnie. Jego długi i wysłużony płaszcz niemal ciągnął po ziemi, mimo że wzrostem przewyższał nawet Stasię. Na głowie miał melonik, a na twarzy dziwnie zakręcone wąsy, które teraz przydymione były cukrem pudrem.

– To ino gorol może na kołocz padać makowiec. – Skwitowała rozczarowana Stasia.

– A Pani Ślązaczka jak mniemam? – uchylił się nisko i chciał pocałować kobietę w rękę.

Bronek nie dał się jednak zwieść. Był emerytowanym górnikiem, do tego Ślązakiem z dziada pradziada i jak dobrze znał śląski ,to i akcent śląski w polskiej mowie umiał rozpoznać.

– A Pan tutejszy? – zapytał z udawaną grzecznością Bronek, chociaż już wiedział, z kim ma do czynienia.

Jegomość zdębiał, a jego zaskoczenie malowało się pod cukrem pudrem, który nerwowo oblizywał ze staromodnego wąsa.

– Skąd pan to wie? – powiedział dżentelmen w meloniku, uśmiechając się przebiegle kącikiem ust.

– A wiym, bo jo górnik je i byle pieron mie za bozna nie zrobi, o! – krzyknął Bronek, demaskując tym samym Bazyliszka.

Stasia pobladła i otworzyła szeroko oczy.

– To je Bazyliszek? – szepnęła do Bronka.

– A owszem, Droga Pani, jestem Bazyl Bazyliszek we własnej osobie. – Ukłonił się elegancko, uchylając melonik.

– Pónboczku! Gorol! – krzyknęła Stasia, składając ręce jak do modlitwy.

Takiej zniewagi Bazyliszek nie mógł znieść. Natychmiastowo przybrał swą pierwotną postać potężnego węża, przy którym nawet anakonda wyglądała jak sznurówka. Bronek, w któryś niedzielny wieczór, oglądał film, gdzie grupę badaczy ścigał taki wielki gad. Nie oglądał do końca, bo go spanie męczyło, a historia była tak nieprawdopodobna, że bardziej momentami bawiła niż przerażała. A tutaj zmaterializował się w całej swoje ogromnej postaci Bazyl Bazyliszek w lśniącej łusce, o pięknym cętkowanym umaszczeniu i oczami złotymi jak u kota.

Stasia patrzyła na ten przerażający pokaz przeistoczenia się mitycznego stworzenia, ale nie wydawała się tym specjalnie poruszona. Założyła ręce na szerokie biodra i przerwała panującą ciszę słowami:

– Te, a tyś nie mioł łoczami w kamień zamieniać?

Bazyliszek spojrzał gniewnie na dwójkę emerytów, chwilę się zawahał i zapytał zdziwiony:

– Ssss... Nie macie przy sssssobie ssssmartfonów?

***

Achim rzadko bywał trzeźwy. Odkąd Maryjka odeszła, a już będzie szósty rok bez niej, nie potrafił zmierzyć się ze smutkiem po stracie ukochanej małżonki. Często zaglądał do kieliszka, aż zabrakło najpierw kompanów do picia, a później pieniędzy. Nie było dnia, aby nie myślał o tym, że czas na zmianę. Nawet kilkukrotnie próbował wracać

do normalności. Wstawał z myślą, by uprzątnąć, zrobić zakupy i śniadanie, zacząć żyć inaczej niż zwykle. Wystarczyła jednak tylko jedna wizyta w sklepie, bo zabrakło chleba, cukru albo masła, a on wychodził z butelką wódki, zapominając o porannych postanowieniach. Dzisiaj było podobnie, szedł alejką w Reptach, chybocząc się delikatnie na boki. Nagle zobaczył, że tuż obok krzaka na małym papierowym talerzyku leżał… kołocz. Achima zalała fala wspomnień, jak Maryjka co niedzielę piekła podobny. Denerwowała się, jak podkradał kruszonkę. A tradycja była taka, że ten kołocz jedli razem po obiedzie, jak wrócili z kościoła. Wtedy Maryjka nastawiała zielony czajnik, zalewała dwie sypane kawy i jedli ten cudowny deser, rozmawiając o sąsiadach, pogodzie albo temacie nabożeństwa. Co to był za czas! Achim poczuł, jak po policzku płynie mu łza.

– Och, Maryjko! Moja Kochano Maryjko, tak fest Ci przaja! Tylko Ty umisz i z nieba o mie zadbać! – krzyknął, wznosząc wzrok ku szarzejącemu niebu.

Podszedł, podniósł talerzyk i spróbował. Słodycz cukru pudru, delikatność masła, struktura maku - wszystko to zalało go falą czułości do zmarłej małżonki- to był kołocz Maryjki! Stał w krzakach, delektując się kawałeczkiem ciasta i w głowie kalkulował, żeby chociaż kilka kęsów zostawić na później, by zatrzymać ten czas, to wspomnienie. Wtem kilka metrów dalej zauważył, za małymi drzewami, trzech emerytów, którzy gorliwie o czymś rozprawiali. Achim zdziwił się, bo o tej porze w Reptach to raczej seminariusze się nie pojawiają. Może się zgubili? – pomyślał Achim. Nagle jeden z nich wydłużył się jak dętka rowerowa i zamienił w ogromnego węża! Stary pijak przetarł oczy ze zdumienia. Później jeszcze raz. I jeszcze raz, ale obraz nie znikał. Kilka metrów przed nim stało już dwóch starszych ludzi - kobieta, mężczyzna… i wąż. Achim przez chwilę stał nieruchomo, po czym spojrzał z wyrzutem w niebo i odchodząc, powiedział do siebie:

– Maryjka… Ty i z nieba wiysz, jak mi padać, żebych już gorzołki nie pił.

***

Hilda siedziała w kuchni i zrezygnowana zbierała palcem okruszki z ceraty. Na zewnątrz słońce już dawno zaszło, a Stasi i Bronka jak nie było, tak nie było. Stara Capkowa zaparzyła melisy w trzech szklankach, bo pomyślała, że niezależnie od wyniku tych specyficznych poszukiwań, to ziółka wszystkim się przydadzą. Zerkała przez uchylone drzwi kuchni na leżącą w salonie Nikolę, wciąż bladą i bez życia. Hilda westchnęła ciężko i zastanawiała się, co to będzie, jeśli Bazyliszka nie da się namierzyć. Co będzie z jej wnuczką, co będzie z Basią, kiedy się dowie. Odganiała te myśli jak natrętne muchy, ale wracały nieustannie w ciszy tak głębokiej, jak głęboki był jej smutek.

Nagle usłyszała donośny głos Kopcowej na klatce i aż serce w niej zamarło. Zerwała się z krzesła i niemal truchtem pobiegła do drzwi, nie zważając na szurające góralskie kapcie. Otworzyła i chwilę niezręcznie czekała, aż Bronek i Stasia wtoczą się na górę. Jakież było jej

zdziwienie, kiedy pomiędzy ich dwojgiem zobaczyła wysokiego mężczyznę, całkiem przystojnego, z dostojnie wywiniętym wąsem. Szedł między nimi, trochę rozbawiony, a cała atmosfera nie wydawała się ani trochę napięta. Gdy już stali przed samymi drzwiami, gestem ręki zaprosiła ich do środka, aby nie witać się przez próg.

– Hildziu, pozwolisz to jest… – zaczął Bronek.

– Bazyl Basssssssyliszek – dokończył za niego Bazyliszek, ukłonił się nisko i pocałował gospodynię w policzek.

Hilda, zawstydzona tym niecodziennym gestem nieznajomego, zaczerwieniła się, poprawiła włosy i cicho powiedziała:

– Hildegarda Capek, bardzo mi miło.

– Ha! A godałaś, że na mój kołocz się Bazyliszka nie do złapać! A pacz tera! – powiedziała Stasia, triumfalnie zadzierając do góry głowę.

Hilda dopiero teraz zrozumiała, kogo ma przed sobą. W całym tym oczekiwaniu, w mieszaninie smutku i zdezorientowania nie miała czasu zastanowić się, czego właściwie się spodziewać. Stoi chłop w przydługim płaszczu, Bronek i Stasia uradowani, Nikola jak blada, tak mało żywa. Cisza jak była, tak jest. Bazyliszek stał w przedpokoju wyłożonym boazerią i przyglądał się małemu krzyżykowi wiszącemu nad drzwiami. Trwali tak przez dłuższą chwilę, w końcu Hilda zaprosiła wszystkich do serca każdego śląskiego domu - do kuchni.

Postawiła przed każdym szklankę z letnim już napojem, usiadła i słuchała spokojnej opowieści Bronka, przerywanej komentarzami Stasi, a Bazyliszek milczał. Rozglądał się tylko, badawczo rejestrował pomieszczenie, aż ujrzał przez uchylone drzwi Nikolę. Uśmiechnął się kącikiem ust, co nie umknęło czujnej Hildzie.

– A ty czamu się śmiejesz, giździe jedyn! Odczaruj nom Nikolka! – powiedziała Hilda głośniej niż zamierzała.

Bazyliszek spojrzał na nią, a z ludzkiej postaci przebijały jego żółte, złe oczy.

– Niby po tssso, Droga Pani? – powiedział spokojnie, ale w tym spokoju przebijał się chłód, którego cała trójka się nie spodziewała.

Wszyscy zamilkli.

– Mam obudzić kogossssś, kto zaprzepaszcza Wassssszą kulturę?! – krzyknął tak głośno, że Stasi spodek ze szklanki upadł na ziemię i rozbił się na kilka części. – Kulturę Waszych przodków! Mowę Waszych przodków! Ludzi, którzy sssszanowali tę ziemię, pracowali dzięki niej, kochali jako ssssswoją. Kim są teraz te dzieci, które z gwary się ssssmieją?! Kim są, by gardzić śląskim jadłem, śląską ziemią! Plują na tradycję. Pussszczają w niepamięć Gwarków, dzięki którym dziś isssssstnieją, dzięki którym ich ssssstoły uginają się od dobrego jedzenia, dzięki którym mają ssssswoją tożsamość! Zanim ja ich zamieniłem w kamień, ssssami byli jak sssskorupy chłonące tyko nienawiść, przez flagę wolności wyboru. Pomieszaliście się Ślązacy z gorolami, ze złem kosmopolityzmu. Daliście zabrać ssssobie klussssski śląskie i czerwone

korale, daliście zabrać ssswoje tradycje! W imię czego? Dzieci, co klepią utarte brednie z internetu, które Ślązaków nazywają wsiokami! Tfu! Dobrze im tak, niech śpią sssssnem wiecznym i zdobią jedynie nasz śląski krajobraz jako te krassssnale ogrodowe!

– Ło kule… – szepnęła Stasia z aprobatą.

Bazyliszek sapał złowieszczo, a na jego rękach pojawiły się znajome Bronkowi wężowe cętki. Dobrze, że gad miał tyle samokontroli, by nie przemienić się w swoją pierwotną postać w tym małym mieszkanku na Przyjaźni. Cisza napełniła powietrze w kuchni, które było tak gęste, że Hilda wstała i uchyliła okno. Nikt nic nie powiedział. Bazyliszek siorbnął melisy. Pierwsza postanowiła się odezwać Hilda.

– Panie Bazyliszku, jo Pana nawet rozumia. Pan wiela rechtu mo, ale to tak nie idzie ino w jedna strona paczeć. – Powiedziała coraz pewniejsza siebie Capkowa. – Toż Pónboczek równo kocho wszystkich: i Ślązoka, i Gorola, tak samo. My nie dali se tradycji zabrać, my się niom dzielymy. Toż w Tanowskich Górach rok w rok som Gwarki, na wesela kołocz piekymy i sąsiadów dzielymy, chodzymy na babskie combry i na świętego Floriana rzykomy. – Stasia zaczęła potakiwać w rytm słów Hildy.

– A dziecka, jak to dziecka, świat im tera ciekawszy niż rolada u starki, ale to minie. A wiesz czamu? Bo w nich śląsko krew krąży, one wiedzą, skąd pochodzą, wiedzą, że godać to ni ma gańba! – powiedziała, po czym usiadła, wpatrując się w gada przed nią.

Bazyliszek słuchał, a twarz mu łagodniała, może nawet odrobinę się uśmiechnął na ten śląski zryw, ale nic nie powiedział.

– Panie Bazylu… Bazyliszku drogi – zaczął Bronek – czy Pan tych dziecek naszych nie mogłby tak warunkowo odczarować?

– Warunkowo? – zaciekawił się Bazyliszek.

– Jaaa, bo jo się tak tera myśla, jak Pan je tak zaczarowoł przez te smarłony. – Mówił Bornek najłagodniej, jak umiał.

– Smartfony! – poprawiła go Stasia.

– Smartfony… przez te, no… wifi. To możno dałoby się jakoś wykorzystać ta Pana zdolność, ale myśla, że do bardzij skutecznych celów.

Bazyliszek uniósł jedną brew i powiedział:

– Zanim mi opowiesz, jaki masssz pomysł… to czy został Państwu jeszcze jakisss kołocz? – zapytał grzecznym tonem.

– Ha! – krzyknęła Stasia zwycięsko, patrząc w stronę Hildy i nałożyła Bazyliszkowi kolejną porcję ciasta.

***

Bazyliszek wysłuchał do końca pomysłu Bronka, a Hilda i Stasia aż otworzyły usta z niedowierzania, jak to ten poczciwy Bronek trochę dziwny, trochę głupi wpadł na TAKI pomysł. Skoro Bazyliszek przez te wszystkie stulecia dostosował się do XXI wieku, potrafił łączyć się przez wifi i używać swoich mocy, to zamiast dzieci karać za ich młodocianą ignorancję, może ich przecież godki i tradycji śląskiej uczyć! Bronek pomyślał, jakby to dobrze było, gdyby śląskie dzieci mogły czytać po śląsku nie te kilka książek na krzyż, ale wszystko! I Andersena! I Braci Grimm! A nawet Harrego Pottera! W tym celu Bazyliszek podłączy się do sieci biblioteki i zrobi kopię całej literatury, a potem zmieni w nich język polski na śląsko godka!

– Jo piyrwszy roz w życiu nie wiem, co padać. – Powiedziała Stasia.

A Hilda ponownie ugryzła się w język, tym razem boleśniej niż poprzednio. Bazyliszek podrapał się po głowie, chwilę coś pomamrotał pod nosem i rzekł:

– Dobrze, zróbmy tak. – Powiedział, uśmiechając się tym razem szeroko.

Hilda i Stasia aż klasnęły w dłonie ze szczęścia. Wtem cisza opadła jak mgła z poranną rosą, znów było słychać gwizdanie i krzyki z podwórza, mimo że na zegarku ledwo wybiła 7 rano. Do kuchni wbiegła radosna (i co ważniejsze rumiana) Nikola.

– Oma, ale żem długo spała! A jakie sny miałam cringowe! Niezła jestem delulu! – powiedziała, wieszając się Hildzie na szyi.

– Eesusie, upośledziło ją! – powiedziała z zatroskaną miną Stasia.

Hilda ugryzła się drugi raz w język, dając sobie przykazanie, że do trzech razy sztuka.

Dochodziła dziesiąta rano, gdy pan Bronisław Capek wraz z jegomościem w przydużym płaszczu jesiennym zjawili się w głównej siedzibie Biblioteki Publicznej im. Bolesława Lubosza w Tarnowskich Górach. Przekroczyli próg i udali się wprost na dział literatury dziecięcej, by móc wdrożyć Bronkowy plan, którym udobruchał gada i jego zapędy. Bazyliszek ściągnął melonik, Bronek ukłonił się nisko i powiedział:

– Dzień dobry, pani Igo, my do pani.

– O, dzień dobry, panie Bronku, bardzo mi miło, że znów pan wpadł. W czymś mogę pomóc?

– Pani Igo, jak pani to wszysko opowiym, to mi pani nie uwierzy…

KONIEC